



Jednodniówka



Organ prasowy
10. All About Freedom Festival

Siódmy dzień festiwalu
20 października 2016

Słodkich snów: Bardzo długa droga do prawdy

ZUZANNA JOCEK

Film włoskiego reżysera Marco Bellocchio pozostawia w konsternacji - z jednej strony nie angażuje w stopniu, w którym powinien, z drugiej przejmuje władzę nad widzem i towarzyszy mu w drodze do odkrycia prawdy o bohaterze oraz sobie samym. Gdzie leży siła „Słodkich snów” i co się stało, że mimo wszystko obraz ten ma tyle słabości?



Nie jestem pewna, czy film „Słodkich snów” to dzieło udane czy nie - gdybym miała brać udział w jakiejś dyskusji na ten temat z pewnością potrafiłabym wybronić obie opinie. Wiem natomiast, że Marco Bellocchio prowadził mnie chwilami jak po nitce swoich rozmyślań, tworząc przy okazji wrażenie chaosu i braku logiki, a w ostateczności doprowadzając tam, gdzie pragnął, co jest dowodem pewnego geniuszu. Z drugiej jednak strony, przez cały seans w mojej głowie kołatała myśl o jakimś przeroście, przesadzie, niepoukładaniu i braku wyczucia w dokładaniu do filmu elementów nic nieznaczących dla głównej fabuły filmu, by nie powiedzieć - zbędnych. W takim konflikcie pozostawił mnie film „Słodkich snów” i trzyma do teraz.

Największym atutem filmu są retrospekcje z dzieciństwa głównego

bohatera - wydają się spójne, momentami bawią, przekonują w pełni do świata wyobrażeń i jego emocji. To do tego niepokornego chłopca szukającego prawdy i ukojenia po stracie matki widz przyzwyczaja się najszybciej. Jego dojrzała wersja przez pierwszą część filmu wydaje się obca, przedstawienie jej jest chaotyczne i niespójne, jakby pocięte i posklejane z przeżyć nie do końca powiązanych z głównym tematem filmu. Gdy jednak fabuła ekranowego „teraz” przeplata się z ekranowym „wczoraj” okazuje się, że brak harmonii, a chwilami nawet nieczytelny chaos nabiera znaczenia. Dochodzimy do wniosku, że życie protagonisty związane jest z jego najboleśniejszą utratą tak silnie, że to ona definiuje jego samego i staje się powodem późniejszego postrzegania świata, scala nam jego postać w sensowną, przekonującą całość.

DZISIAJ GRAMY

18:00

Creative Control,

reż. Benjamin Dickinson,
97 min.

20:00

Piotr Kurek,

Ogród Powolności
koncert

20:15

Toni Erdmann

reż. Maren Ade,
162 min.

Poprowadzona w taki sposób fabuła powinna czarować, a jest niestety inaczej. Ciężko jednoznacznie uznać, co tak naprawdę zawiodło i nie jestem pewna, czy można by winić za to scenariusz - ten sam, który przecież tak dobrze prowadzi nas tam, gdzie chciał jego autor. Okazuje się jednak, że droga ta nie jest płynna, że w trakcie podróży zaczynamy tracić wiarę w historię, oddalamy się od niej. Nie można więc uznać, że w każdym aspekcie film ten jest dobry, ale nie podpisałabym się pod stwierdzeniem o jego niepowodzeniu. Sposób, w jaki opowiada o stracie i pogodzeniu może być dla widza ciekawy i poruszający. Reszta elementów wydaje

się być jednak pozbawiona charakteru, nie angażuje nas w pełni i - choć smutno to przyznawać - momentami nuży. „Słodkich snów” okazuje się więc być obrazem przeciętnym - wykonanym na tyle solidnie, że nie da się go jednoznacznie skreślić i na tyle niefortunnie, że nie przyciąga i nie przekonuje do siebie.

Co jednak z szeroko omawianą podczas festiwalu wolnością? Jeśli film Marco Bellocchio o niej mówi, to w kontekście zniewolenia naszą przeszłością. To, jak definiują nas nasze przeżycia z dzieciństwa i jak mocno oddziałują na dorosłość. Droga każdego z nas do odkrycia pewnej prawdy o nas samych w naszej własnej historii i w końcu



konfrontacja z tym, kim się stajemy - w filmie występuje mocny akcent na przedstawienie tych zagadnień. I jak przekonuje nas film - o wiele bardziej niż prawda wyzwala nas

pogodzenie się z nią - puszczenie swobodnie tego, co nas najbardziej boli i pójście dalej, jakkolwiek ciężka i wymagająca może wydawać się ta decyzja.

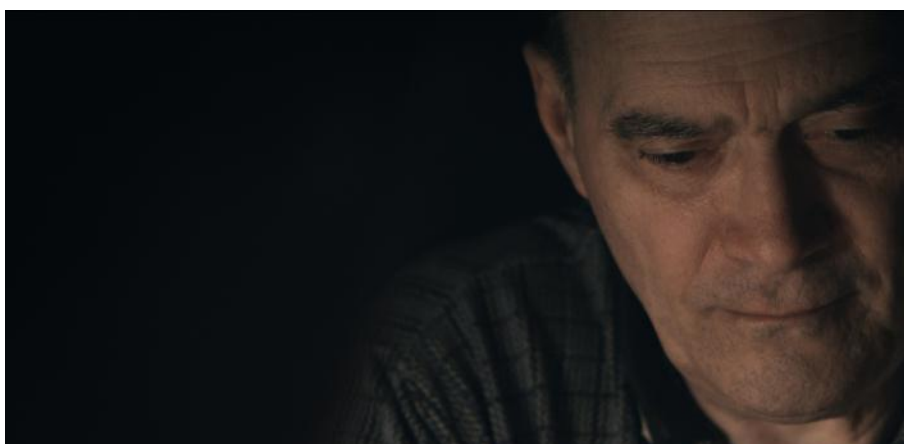


Dobry Amerykanin: Thriller polityczny

PATRYK KOPROWSKI

Nic nie jest z zasady złe, póki z niewłaściwych pobudek nie zostanie w ten sposób użyte. .

Film Friedricha Mosera jest stylizowany na thriller polityczny. Dużo scen jest wyreżyserowanych, zgrabnie zakomponowanych, co momentami wytrąca widza i odbiera pełen realizm przedstawienia. Chwilami wręcz oglądaniu towarzyszy wrażenie, iż mamy do czynienia z mockumentem, z całkowitą kreacją autora. To jednak nie przekreśla filmu, który nawet jeśli byłby zupełną fikcją polityczną, podejmuje ważne w XXI wieku zagadnienie związane z cyberprzestrzenią. Film opowiada o agencji NSA Billu Binneyu, który stworzył innowacyjny system śledzenia danych, mogący zapobiegać atakom terrorystycznym. Projekt działał bez zarzutów, zdawało się więc, że nic nie jest w stanie stanąć na przeszkodzie, by wdrożyć go w życie. Okazało się jednak, że sprawa jest bardziej złożona i przede wszystkim posiada swoją cenę. ThinThread, bo o nim mowa, nie przetrwał najważniejszej próby. Na drodze stanęła bowiem niekompetencja i



chciwość osób władnych, którzy zarządzali NSA w tamtym czasie. Chore ambicje i chęć zysku po raz kolejny w historii wygrały z rozsądkiem. Dobrze działający system monitoringu i analiz, który dodatkowo zapewniał ochronę danych osobowych, został zastąpiony takim, który miał tylko jedną "zaletę". Zapewniał setki miejsc pracy i większy kapitał pochodzący z portfela podatnika. Daje to niestety smutny obraz świata, w którym popełniane są wciąż te same błędy - korupcji, arogancji i głupoty. Szukając

jednak pozytywnych aspektów, nie sposób nie zauważyć pewnej mądrości, która choć oczywista, nie zawsze znajduję naszą uwagę. Niezależnie od definicji wolności jaką przyjmujemy, nie ważne w jakim systemie przyszło nam żyć. Musimy wiedzieć, że to nie narzędzia winne są niesprawiedliwości. Sam pistolet bowiem nie jest wstanie zastrzelić człowieka, tylko ten, który się nim posługuje. Nic zatem nie jest z zasady złe, póki z niewłaściwych pobudek nie zostanie w ten sposób użyte.

Toni Erdmann: Kiedy żart przeplata się z rozpaczą

KAROLINA WARYŚ

Ciepło przyjęty na festiwalu w Cannes ironiczny komediodramat, który pozostawia widza na pastwę prawdziwej huśtawki emocjonalnej. Seans, pomimo swojej niemiłosiernej długości, nie miał absolutnie nic wspólnego z torturami.

Poznajemy głównego bohatera – Winfrieda (Peter Simonischek) w dość nietypowy sposób, bo z perspektywy kuriera. Od razu możemy zauważyć, że nasza postać nie jest zwykłym starszym panem. Przeciwnie – to młody duchem żartowniś, który uwielbia rozweselać ludzi i dobrze się bawić. Ma do siebie ogromny dystans, z każdą kolejną minutą poznajemy go lepiej i zaczynamy odczuwać w stosunku do niego coraz większą sympatię. Podążamy za nim w przygodzie do Bukaresztu, która ma na celu odświeżenie relacji z córką Ines (Sandra Hüller) – odnoszącą sukcesy bizneswoman.

Sposobem Winfrieda na ubarwienie życia córki jest wcielanie się w Toniego Erdmanna. Używa do tego sztucznych krzywych zębów, mizernej peruki i sfatygowanego garnituru. Przypadkowo spotykany na przyjęciach czy w restauracjach przedstawia się jako coach lub nawet niemiecki ambasador. Córce, rozpaczliwie walczącej o swoją pozycję w branży, zachowanie ojca zdaje się bardziej przeszkadzać niż pomagać. Podczas wspólnej piosenki ojca i córki doświadczamy prawdziwego crescendo. Ines daje upust emocjom, śpiwając The Greatest Love Of All. W samym tekście odkrywa ukryte przesłanie życiowe, pewnego rodzaju wskazówkę, której wcześniej nie zauważała. Gwałtowne wyjście Ines zwraca uwagę na fakt, że coś do niej dotarło. Zapukała do niej dotychczas niedostrzegana istota życia. Od pierwszego momentu witają nas schludne i dobrze przemyślane kadry. Z obrazu bije ciepła aura, która wciąga i nie wypuszcza ze swoich siatek. Chcemy być wewnątrz i nawet nie myślimy o tym, by się opierać. Przez sprawne



prowadzenie narracji i techniczną magię obrazu bez reszty zatracamy się w akcję filmu. Stajemy się współuczestnikami historii rozgrywającej się na ekranie. Nie sposób oderwać oczu od obrazu, ponieważ czujemy jakbyśmy naprawdę przeżywali to, co przydarza się bohaterom. Odwracając wzrok, stracilibyśmy świadomość bycia wewnątrz. Prawie trzygodzinny seans nie dłuży się mimo uczestniczenia w wielu niezręcznych milczeniach czy oczekiwaniach. Pomimo biegnącego (jednak nie zawrotnego) rytmu życia bohaterów, mamy również trochę czasu na własną refleksję. Reżyserka zgrabnie przechodzi z narracji z perspektywy ojca w tę z perspektywy córki. Łącznikiem często jest taksówka. Jedno z nich opuszcza ramy narracyjne, więc przenosimy się do życia tego drugiego – dzięki temu możemy przeżywać historię oczami obojga bohaterów w takim samym stopniu. Toni Erdmann to najlepszy dowód na to, że ludzkie życie nie składa się z samych dramatów i komedii. To jeden z tych filmów, który zostaje w głowie widza jeszcze przez długi czas po obejrzeniu. Absurd przeplata się tutaj z niekłamaną powagą, a żart z rozpaczą. Podczas seansu

zdążymy kilka razy popłakać się ze śmiechu, ale też zasępić na widok ludzkiej krzywdy czy beznadziejności sytuacji.

Projekcję filmu w napisach końcowych zwieńcza utwór Plainsong zespołu The Cure, co nadaje ostatni szlif wymowie dzieła. Piosenka, pozornie pełna beznadziei i niepewności, zostawia jednak zwiastun czegoś pozytywnego – przecież w gruncie rzeczy wszystko zależy od nas samych i tylko my potrafimy odnaleźć coś, co nadaje sens naszemu życiu.

SEANS DRUGIEJ SZANSY

TONI ERDMANN

DZISIAJ 20:15

Nie tak dawno temu, za kilkanaście granicami oraz sztuka kamuflażu w Polsce, czyli jak nie mówić „na zdrowie”

ADA PIOTROWSKA

Wchodzę do mieszkania Romy, emerytowanej nauczycielki matematyki. W przedpokoju wisi obrazek Kazaszki z dziećmi w strojach ludowych. W pokoju krajobraz z puzzli, ułożony z tatą – przyklejony do tektury i oprawiony w ramkę. Na zielonych ścianach, które sama tapetowała, powiesiła prezenty pożegnalne, amulety – pamiątki od uczniów i uczennic. Po lewej ulubiony święty obrazek mamy, z naprzeciwka spogląda Matka Boska z dzieciątkiem Jezus. W kącie stoi „kamcia” – bicz do poganiania konia, która musi wisieć przy wejściu do mieszkania – wtedy przynosi szczęście. „Chcę patrzeć i przypominać sobie miłe rzeczy, a czy ładne czy nie to mnie nie obchodzi!” – tłumaczy Roma. Obok kazachskiej kamci, krzyż. Gdy ona parzy herbatę, zauważam kolosalną księgę na dolnej półce jej biblioteczki – „Polski słownik ortograficzny – fleksyjny”. Przy stoliku wita mnie głuchy kot, którego Roma wyprowadza na spacer na smyczy. Ten biały zwierzak podczas spacerów przyciąga uwagę dużo bardziej, niż akcent Romy.

Piję herbatę także z Maszą, uczennicą drugiej klasy liceum. Trudno opisać jej pokój – zmienia je w bursie gdańskiej jak rękawiczki. Ciężko jej wybrać, co lepsze – mały pokój, co jest równoznaczne z „mniej hałasujących współlokatorów”, czy większy, w którym jest miejsce na ćwiczenie z Ewą Chodakowską.

Niestety nie udało nam się usiąść we trójkę i wymienić poglądów. Poprosiłam, by opowiedziały o sobie, skąd pochodzą, jak żyje im się w Polsce. Oto jak

wyglądała rozmowa dwóch żywiołów z obcych krajów.

Stawiamy przed sobą filiżanki z herbatami. Maczamy saszetki, czekamy, aż się zaparzą. Roma pierwsza opowiada, jak wszystko się zaczęło.

- To było tak - w 1936 roku, jeszcze w Związku Radzieckim, gdy Stalin zdecydował, że Polaków mieszkających na Ukrainie, blisko granicy z Polską, trzeba wysłać na wschód, żeby nie uciekli do Polski. Dali nam dwa tygodnie, powiedzieli, że to ciepły kraj, tam rośnie len. I wysłali - to były te słynne wagony bydłowe, dwa tygodnie jechali, rodzice z dwójką małych dzieci.

Mamy siostra, też wysłana, 18 letnia Krystyna, miała ukończone technikum, była bardzo dobra jako nauczycielka, dzieci od razu umiała nauczyć pisać. Szkoła nieogrzewana była, bo nie było z czego ogrzewać, a w zimę a ona nie chciała chodzić w płaszczu na zajęcia i zachorowała na zapalenie płuc, zmarła.

Ja się urodziłam już tam, na zesłaniu. Jak matka miała mnie urodzić i na konie tata posadził mamę, bo tam nie było jakiegoś medycznego punktu, to jeszcze trzeba było zezwolenia, że wiezie żonę na poród. Byliśmy chrzczeni w takiej łaźni, w nocy, obok wioska była i jeden drugiemu przekazywał, że ksiądz przyjedzie, żeby dzieci ochrzcić. I wtedy, w tej łaźni, w nocy – pamiętam, taka koszulka biała na mnie była – rodzice na konie i wywieźli nas do wioski. Ksiądz nas ochrzcił później ktoś doniósł na niego i go aresztowali, takie były czasy. Zbieraliśmy kiziak - końskie gównienka suche, tym paliło się. Czymś trzeba było piec rozpalić, żeby żyć. Kina u nas nie było, ale pójść cztery kilometry do wioski obok, większej, nie mogliśmy, bo byliśmy

„dzieci represjonowane”. Dzieciństwo było takie, że rodzice chowali się, żeby na święta - na pasche czy na Wielkanoc, czy na Boże Narodzenie coś przygotować. Komendant obok mieszkał w baraku, to okno się zakrywało, żeby zapach nie szedł. Kiedy Związek Radziecki się rozpadł się, Kazachowie zaczęli się inaczej zachowywać. Wytykali nam naszą narodowość, niedobrze się zrobiło, tam gdzie urodzona byłam. Mama mówiła, że dziadek powtarzał, że my na swoje ziemie musimy wrócić. Ona chciała być pochowana na polskiej ziemi. W Warszawie było stowarzyszenie „Powrót”, napisaliśmy tam. Oni rozsyłali listy po polskich gminach z pytaniem, kto przyjmie rodziny ze wschodu. W Bruku (wiosce niedaleko Malborka) czekało na nas mieszkanie, meble, wszystko. Także przyjechałam ze stolicy do Bruku. Pracy na początku nie miałam, potem po pół roku w urzędzie mi zaproponowali, że w przedszkolu będę w świetlicy, żeby język podszkolić.

Masza, twoje dzieciństwo i przyjazd musiał wyglądać trochę inaczej...?

- Moja mama jest Ukrainką, tata też, mamy też chyba korzenie z Polski, tylko nie mogę znaleźć dokumentów, żeby udowodnić. Zawsze pytali mnie: Czemu wybrałaś Gdańsk? A ja mówię, że Gdańsk wybrał mnie! Napisała fundacja stąd, że są dwa wolne miejsca w liceum. Postanowiłam, że powiem tak, bo zawsze można zrezygnować, a jak powiesz nie, to tracisz szansę. Jak przyjechałam, to najbardziej chyba bałam się, że nie poradzę sobie z matką po polsku. Byłam przerażona jak pani po raz pierwszy zadała

pracę domową. Chociaż teraz myślę, że na Ukrainie jest wyższy poziom nauczania matmy – niektóre tematy z rozszerzonego zakresu tutaj, są u nas w podstawie.

Pytają mnie: „To czemu nie wrócisz na Ukrainę?” Odpowiadam, że chciałabym wrócić na Ukrainę, lubię tam mieszkać, lubię swój kraj, tylko mi się to nie opłaca. Bo wyjechałam z ekonomicznych i politycznych. Na Ukrainie jest tak, że jak chcesz się rozwijać, to musisz wyjechać na Zachód. Jest większa szansa żeby zarobić, wykształcić się, nikt nie jedzie do Rosji kształcić się, nie słyszałam czegoś takiego. Głupia władza, nie potrafi nic z tym zrobić, mamy już 25 lat niepodległości, a wydaje mi się, że jesteśmy najbardziej zahamowanym krajem ze Związku Radzieckiego. No może jeszcze troszeczkę Rosja. Nic się nie dzieje! Jakby wzięli listę potrzeb Ukraińców i zaczęli od końca. Zmieniają nazwy miast, po co to tyle kasy wydają? Ale uczą dobrze - w Googlu pracuje większość Ukraińców, są tacy utalentowani ci nasi programiści? Tylko, że u nas łapówki biorą na studiach, na egzaminach. Nie zdasz jak nie zapłacisz, tak się zdarza. U was musi się napisać maturę bardzo dobrze jak się chce iść na studia, a u nas możesz napisać "aby zdać", a i tak możesz pójść na dzienne, tylko musisz zapłacić.

No właśnie, jak już o „nas” mowa... nasze państwa bardzo się różnią? I jak Polska was przyjęła?

Masza: - W Polsce jak kichnę, to rozglądam na boki, czy ktoś powie "na zdrowie". Nikt mi nic nie mówi! Jakbyś kichnęła na Ukrainie to albo

mówią [budz zdrow] to znaczy 'bądź zdrowy', 'na zdrowie' to jest takie automatyczne, a w Polsce nie. Ale zmiany w życiu powodują, że bardzo szybko przystosowujesz się do innych zmian. Już nie stresujesz się, bo to trochę bez sensu. Nie myślę co będzie w maju, tylko co będzie teraz, że jutro mam kartkówkę z niemca, a w piątek z geografii. Carpe diem, chwyć moment, Horacy, nie? Nie mówię że wszyscy Polacy są źli, po prostu jakby było w życiu zbyt radośnie, to by znudziło się. Bóg nam daje cierpienie i te takie przeszkody, żeby je pokonywać. W pierwszej klasie usłyszałam od jakiegoś chłopaka: „Polska jest dla Polaków”. Głupi nie, no bo też mówię ile Polaków jest w Aglii! Nie mam nic przeciwko temu, bo każdy migruje i wraca - ten kraj jest ojczyzną, gdzie czujesz się jak w domu. Nie chodzi tylko o nacjonalizm czy patriotyzm, że ja jestem Ukrainką to muszę lubić tylko swój kraj. Dlaczego nie mogę lubić Włoch czy mieszkać we Francji?

Roma: - A ja wychowałam się w trzech kulturach: rosyjskiej, niemieckiej i polskiej. Mnie nie ciekawiło co mówili, jak przyjechałam, ale myślę, że w Brukseli, gdy zaczęliśmy z polskością się obnosić to jedna pani dobrze nam powiedziała: „nie trzeba tego podkreślać bo te tereny takie wielonarodowe, Ukraińców dużo, Niemców, Białorusinów”. Ale ja to zawsze wystawiałam się ze swoją polskością, że jestem Polka. Zawsze mówili, że dziewczyny polskie to takie z honorem. Nigdy nie zmieniałam swojego imienia Romualda, chociaż niektórzy poprzerabiali, a moje trudno się wymawiało. To na tablicy pisałam, nigdy nie zmieniałam. Nie było krzywych spojrzeń. Jak do Brukseli przyjechaliśmy autobusem to wszyscy byli w oknie, bo to rodzina z Kazachstanu przyjeżdża, i taka pani powiedziała: „A no- , to są dobrzy ludzie, bo psa z sobą przywieźli”.

Więc kim jesteście?

Masza marszczy się: - Czy jestem Ukrainką czy Polką, pytanie odwieczne. Nie wiem.

Roma: -To często tak się o mnie mówi: z Rosji. Ja nie jestem z Rosji! Nie wiedzą nawet Polacy gdzie jest Rosja gdzie Kazachstan. Do Kazachstanu trzeba 2,5 doby jechać, a do Rosji tylko 18 godzin.

Tekst powstał podczas warsztatów reporterskich GDAŃSK – MIASTO OTWARTE, prowadzonych przez Magdalenę Grzebałkowską w ramach All About Freedom Festival

Dobry Amerykanin: relacja ze spotkania

RAFAŁ WARCZEWSKI

Po projekcji filmu „Dobry Amerykanin” widzownie AAFF mogli spotkać się z Katarzyną Szymielewicz z organizacji Panoptikon zajmującej się działaniem na rzecz wolności i ochrony praw człowieka w świecie nadzorowanym.

W trakcie spotkania ekspertka jednoznacznie oceniła działanie głównego bohatera filmu. Billy Binney był osobą uczciwą, która stworzyła precyzyjny program, by uniemożliwić jakiegokolwiek wybuchy terroru oraz groźne incydenty w Stanach Zjednoczonych i na całym świecie. Dokument Friedricha Mosera ujawnia niezwykle niepokojące fakty, dowodzące, że korupcja, niekompetencja, arogancja, kłamstwa i osobiste ambicje oraz chciwość doprowadziły do zablokowania taniego i niezwykle skutecznego systemu monitoringu i analiz, który mógł powstrzymać ataki terrorystyczne z 11 września 2001 roku. Według Szymielewicz wymiar etyczny zmienił się pod wpływem przejęcia programu. W konsekwencji baza danych U.S.A zbiera informacje wszystkich obywateli, narażając na brak prywatności. Dobra

inwigilacja nie angażuje ofiar cywilnych i należy podążać za konkretnym zagrożeniem, a nie tworzyć zbędne połączenia między zwykłymi obywatelami. W trakcie rozmowy nie mogło zabraknąć odniesienia do postaci Snowdena, który ujawnił na łamach prasy kilkaset tysięcy poufnych, tajnych i ściśle tajnych dokumentów NSA. W jego poczynaniach Szymielewicz nie widzi interesu dla Rosji, a raczej dla obywateli Stanów Zjednoczonych. Mówi, że należy oceniać ludzi po czynach, a nie po zamierzeniach, gdyż nie znamy zamierzeń człowieka, a możemy wywnioskować je po jego czynach.

Apelem, który zapamiętają uczestnicy spotkania, niech będzie ten, że warto dawać sprzeciw, nieustannie pytać po co agencje przeglądają co robimy w sieci, z kim rozmawiamy i do kogo wysyłamy

maile. Nawet w sytuacji, gdy nie jesteśmy celem w ważnej sprawie. Można mieć wątpliwości, co do samego systemu monitoringu, gdyż ludzie z agencji nie są wybierani demokratycznie, tylko tak naprawdę służą rządowi czy prywatnym firmom, co pozwala na bezkarne manipulacje.

Ważnym punktem debaty było odniesienie do sprawy polskiej. Tutaj najczęściej inwigiluje się dziennikarzy, którzy mogą przekazać obywatelom pewne tajne informacje. Drugą grupą jest oczywiście opozycja. Agencja sprawdza, kto finansuje przeciwnie ugrupowania i stara się wpłynąć na korzyść partii rządzącej. Po spotkaniu z Katarzyną Szymielewicz można odnieść wrażenie, że nie do końca zdajemy sobie sprawę jak ważny jest dzisiaj problem powszechnej inwigilacji.



Creative Control: Człowiek vs. rzeczywistość, technologia vs. człowiek

KAROLINA WARYŚ

Czujesz, że nie masz co zrobić z czasem, a twoje życie zmierza donikąd? Nie martw się, z pomocą przychodzi ci nowa technologia!

Gdy Davidowi (Benjamin Dickinson) przestaje wystarczać piękna i kochająca dziewczyna (Nora Zehetner), pewna pozycja w pracy oraz inne drobiazgi składające się na całkiem przyjemne życie, sięga on po innowacyjny gadżet. Dzięki niemu żegna się z życiowym niezaspokojeniem. Odnajduje zupełnie nowe wrażenia i utwierdza się w fakcie, że zaczyna się zakochiwać w dziewczynie przyjaciela, Sophie (Alexia Rasmussen). Ale ta nowa zabawka tylko przybliżyła nam podłoże tej fascynacji. Jest czysto fizyczna. Nie ma tutaj miejsca na głębię i budowanie relacji. Bo niby w jaki sposób zacieśniać więzi z hologramem?

Dotychczasowy związek Davida coraz bardziej go męczy, ucieka on więc w krainę sekretnych schadzek z wirtualną wersją Sophie. Chwilami zapomina jednak, że nie ma do czynienia z prawdziwą osobą, a wszystko co przeżywa, jest wytworem współpracy wynalazku i jego wyobraźni. Bohater ostatecznie traci rozróżnienie pomiędzy rzeczywistością a symulacją, co staje się dla niego bardzo zgubne.

Mamy do czynienia z obrazem czarno-białym. Gdzieniedzie jednak pojawia się kolor. Twórca koloruje takie

drobiazgi jak niebieskie kropeczki przy ukazywaniu działania wynalazku, ale także całej wirtualnej postaci Sophie. Prawie każde ujęcie jest wizualną perełką. Obezwładniająca symetria kompozycji czy kontrasty wzbudzają zachwyt. Mimo, że obraz nas nie pochłania, całość jest fascynująca i przyjemnie się na nią patrzy. Wszystkiemu towarzyszy podniosła muzyka klasyczna, co nadaje filmowi ironiczny, przesadnie patetyczny ton. Jednak mimo to, jest wspaniałą klamrą zespalającą warstwy narracyjne, a jednocześnie pewnego rodzaju interesującym zgrzytem, który otwiera w nas nowe pokłady percepcyjne.

Między kolejnymi scenami możemy zaobserwować zamiłowanie reżysera do architektury, co może kojarzyć nam się z twórczością Antonioniego. Naszym oczom ukazuje się mnóstwo miejskich pejzaży. Chciałoby się rzec, także strumienia życia ulicznego, lecz w Creative Control trochę tego życia brakuje. Z kolei scena rozmowy Davida i Sophie na ulicy nieodparcie przywodzi na myśl obrazy z *Do utraty tchu* Godarda. Możemy zauważyć tutaj również bezpośrednią korespondencję z filmem *Ona*. Creative

Control idzie jednak jeszcze dalej. Nie wykorzystuje samego głosu, a raczej tworzy materialną kopię postaci, wzbogaconą o jej oryginalne cechy fizyczne.

Wiele scen bawi, chyba głównie przez swoją gorzką wymowę, ale także żenuje poprzez swoją absurdalność. Mam wrażenie, że współczesne kino niezależne nie ma prawa istnieć bez przesadnego emanowania seksualnością. A tego i w tym filmie jest mnóstwo.

Tytuł zawiera w sobie dwie interpretacje, które stają się myślą przewodnią filmu. Możemy tutaj mówić o kontroli człowieka nad rzeczywistością lub kontroli technologii nad człowiekiem. Twórca swoją gorzką czarną komedią proponuje nam niepokojącą wizję społeczeństwa. Jako widzowie możemy się tego przestraszyć lub machnąć na to ręką. Realne kontakty międzyludzkie ustępują miejsca technologicznym symulacjom. Ponadczasowe wartości przestają mieć znaczenie, a ludzie stopniowo tracą istotę życia i poczucie przynależności w świecie. Mimo pozornej przewagi człowieka nad rzeczywistością, może łatwo i bezwiednie oddać się w niewolę technice.



OSTATNIA STRONA



KOCIAK JEDNODNIÓWKI 2016

REBUS



Redaktorki prowadzące: Krystyna Weiher, Paulina Pohl

Korekta: bywa różnie

Wydawca: Europejskie Centrum Solidarności

"Jednodniówka" festiwalowa jest współtworzona przez studentów I, II i III roku Wiedzy o filmie oraz Kulturoznawstwa na Uniwersytecie Gdańskim



OSTATNIA SZANSA NA SPOTTED!

jednodniowka-redakcja@wp.pl